

Tadeusz Skalski

Koty, demon, zaklęcia i ... naturalizacja

Filozofia Nauki 6/1, 81-93

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Tadeusz Skalski

Koty, demon, zaklęcia i ... naturalizacja

Tytuł pracy dość wiernie oddaje jej treść. Najpierw powiem coś o kotach i demonie, następnie skoncentruję się na pewnym systemie zaklęć i wreszcie ... zajmę się naturalizacją. Właśnie analiza tej ostatniej jest celem artykułu. Koty i demon to tylko «pomoce naukowe», ułatwiające wprowadzenie pewnych pojęć i sformułowanie pytań. Rozpoczniemy od kotów.

1.

Weźmy pod uwagę pewnego konkretnego kota znajdującego się w pewnym konkretnym mieszkaniu i oznaczmy go przez *A*. Dlaczego akurat kota? Jest to poniekąd rzecz gustu. Ale nie tylko. Zachowanie kota jest trudne do przewidzenia i niełatwo na nie wpłynąć (koty chadzają własnymi drogami). Pozwólmy mu zachowywać się zupełnie swobodnie i obserwujmy go uważnie (najlepiej sfilmujmy). Niech trwa to godzinę. Załóżmy, że w tym czasie kot *A* robi wiele różnych rzeczy — przeciąga się, leży, mruczy, miauczy, pije mleko, podchodzi i odchodzi od stołu, w końcu ze ściśle określonego miejsca podłogi wskakuje na ściśle określone miejsce ściśle określonej szafy. I co dalej?

Potrzebny nam będzie drugi kot. Oznaczmy go przez *B*. Umieścmy kota *B* w tym samym pomieszczeniu, w którym znajdował się kot *A*, ale w innym czasie (np. następnego dnia), i obserwujmy uważnie jego zachowanie przez godzinę. Załóżmy, że jesteśmy świadkami cudu. Kot *B* robi prawie dokładnie to samo, co robił kot *A* i dokładnie w tej samej kolejności, tj. najpierw się przeciąga, następnie leży, mruczy, miauczy, pije mleko, podchodzi i odchodzi od stołu, wreszcie prawie z tego samego (ściśle określonego) miejsca podłogi wskakuje na prawie to samo (ściśle określone) miejsce tej samej (ściśle określonej) szafy. Otóż gdyby taki cud rzeczywiście się wydarzył, proponuję, abyśmy opisali go mówiąc krótko, że zachowanie kota *B* było

behawioralnym cieniem zachowania kota A (i na odwrót). Pojęcie behawioralnego cienia jest oczywiście nieostre. Pewne dalsze wyjaśnienia wydają się jednak na miejscu. Otóż aby zachowanie kota B można było określić jako behawioralny cień zachowania kota A , kot B musi rzeczywiście robić prawie dokładnie to samo, co kot A . Jeżeli kot A rozpoczął swą wędrówkę do miski z mlekiem od wysunięcia do przodu lewej przedniej łapy, to to samo musi uczynić kot B ; jeżeli kot A potrzebował na przebycie drogi pięciu kroków, to i kot B musi ją przemierzyć w ten sam sposób; jeżeli kot A pijąc mleko wysunął język 24 razy, to i kot B musi wysunąć język 24 razy itd. Jakie różnice między ich zachowaniami są dopuszczalne? Oto jeden przykład. Gdyby kot A wysuwając język za 11 razem zdołał nabrać 0,5 mg mleka, a kot B tylko 0,4 mg, to w dalszym ciągu mielibyśmy pełne prawo nazywać zachowanie kota B behawioralnym cieniem zachowania kota A .

2.

Do czego jest nam potrzebny demon? Do tego samego, do czego potrzebny był Laplace'owi, Maxwellowi i wielu, wielu innym: do rozwiązania problemu, który *w zasadzie* jest rozwiązywalny, ale tak skomplikowany, że znalezienie rozwiązania przekracza możliwości ludzkiego umysłu. (Usługi, które nieodpłatnie i bezinteresownie świadczy ta niezwykła postać na rzecz filozofii co najmniej od czasów Kartezjusza są nie do przecenienia. Eksperymenty myślowe i nieodłącznie z nimi związany demon to, jak sądzę, ważny i fascynujący wątek w historii europejskiej filozofii. Wątpię, aby demon doczekał się pomnika. Z pewnością jednak zasługuje na osobną rozprawę.) Problem, który mam na myśli dotyczy kotów (lub innych organizmów) i behawioralnego cienia.

Wspomniałem wcześniej, że gdyby zdarzyło się tak, że zachowanie kota B byłoby behawioralnym cieniem zachowania kota A , to byłby to cud. My jednak właśnie chcemy czynić cuda! Chcemy mianowicie znaleźć sposób, dzięki któremu moglibyśmy uczynić zachowanie zupełnie dowolnego kota K_1 w dowolnym (choć niezbyt długim i przyszłym) odcinku czasowym t_1 behawioralnym cieniem zachowania innego (dowolnego) kota K_2 w czasie t_2 (t_1 i t_2 muszą być w przybliżeniu równe). Czy zadanie to w ogóle ma rozwiązanie? Jeżeli założymy, że koty są częścią przyrody, czyli jeżeli założymy, że zachowania kotów są bez reszty zdeterminowane przez to, co dzieje się wokół kotów i w samych kotach, to wówczas *w zasadzie* ma ono rozwiązanie. Jest ono nawet zupełnie proste. Jeżeli chcemy zachowanie kota B uczynić behawioralnym cieniem zachowania kota A , to trzeba, aby centralny system nerwowy kota B znajdował się w (prawie) takim samym stanie, w jakim znajdował się centralny system nerwowy kota A , i aby docierały do niego (prawie) takie same bodźce. Rzecz w tym, że rozwiązanie to dla nas — ludzi — nie ma żadnej praktycznej wartości. Sposób, który podaliśmy jest «skrojony na miarę» istoty o nieograniczonych możliwościach. W sam raz dla demona, który zna stan neuronów kota A i potrafi je odpowiednio «nastawić» w głowie kota B .

3.

Niektóre szkolne zadania można rozwiązać dwoma różnymi sposobami. Pewne bardzo trudne (i zgoła nieszkolne) problemy również, jak się wydaje, można rozwiązać dwiema różnymi metodami. Pierwszy sposób jest charakterystyczny dla demona; drugi — typowy dla ludzi. Jesteśmy nie tylko o wiele mniej zdolni niż demon, ale — może z lenistwa — nie chce nam się «zaglądać» do głowy kota i przez tysiąclecia badać jej zawartość. Potrzebujemy czegoś, co byłoby skrojone na naszą, ludzką miarę, czegoś naprawdę bardzo prostego — mogłaby to być czarodziejska różdżka albo jakiś system zaklęć. Czy jednak istnieje obiekt, który byłby w stanie sprostać tak szalonym wymaganiom, tj. czy istnieje drugi (i zarazem nie gwałcący praw natury) sposób na rozwiązanie naszego zadania? Nie wiem, czy istnieje on w wypadku kotów (należałoby spytać o to demona), ale wiem, że istnieje on w wypadku ludzi. Wiem o tym stąd, że po prostu znam rozwiązanie — potrafię, posługując się systemem zaklęć (którego nauczono mnie we wczesnym dzieciństwie), sprawić, aby zachowanie pewnego człowieka było behawioralnym cieniem zachowania innego człowieka.

Zdanie kończące poprzedni akapit jest (jak mi się wydaje) oczywiste i sędzę, że czytelnik odgaduje co mam na myśli, gdy piszę o systemie zaklęć. Ponieważ jednak odgrywa ono kluczową rolę w tej pracy, powtórzmy *mutatis mutandis* to, co wcześniej napisałem o kotach. Weźmy pod uwagę pewnego konkretnego człowieka znajdującego się w pewnym konkretnym mieszkaniu i oznaczmy go przez *A*. Pozwólmy mu zachowywać się zupełnie swobodnie i obserwujmy go uważnie (najlepiej sfilmujmy). Niech trwa to godzinę. Załóżmy, że w tym czasie człowiek *A* robi wiele różnych rzeczy — przeciąga się, leży, pije mleko, podchodzi i odchodzi od stołu, wreszcie ze ściśle określonego miejsca olbrzymiego księgozbioru wyjmuje ściśle określoną książkę i otwiera ją na określonej stronie. Weźmy teraz pod uwagę kolejnego człowieka, oznaczmy go przez *B* i umieśćmy w tym samym pomieszczeniu, ale w innym czasie. Co należy zrobić, aby stał się cud, tj. aby zachowanie człowieka *B* było behawioralnym cieniem zachowania człowieka *A*? Czy zadanie to w ogóle ma rozwiązanie? Owszem, ma co najmniej dwa rozwiązania. Pierwsze z nich jest oczywiste i uniwersalne. Można je stosować do kotów, ludzi i chrabąszczy. Ma ono również jedną wadę. W praktyce mogą się nim posłużyć tylko istoty o nieograniczonych możliwościach umysłowych i technicznych. Drugie rozwiązanie pochodzi od ssaków wyróżnionych w systematyce zoologicznej jako hominidy — istot nie posiadających żadnej wiedzy na temat neuronów i niezdolnych do zaglądania w głąb czaszek. Zamierzam skorzystać z drugiego sposobu. Jest on niestęchanie prosty. Należy w umiejętny sposób posłużyć się systemem znaków lub zaklęć, którego nauczono mnie we wczesnym dzieciństwie. Biorę kartkę papieru i starannie kaligrafuję stosowne zaklęcie: *Zrób o co proszę i nie pytaj się dlaczego. Najpierw się przeciągnij, następnie połóż ... wreszcie weź piątą książkę (licząc od lewej) z szóstej półki (licząc od góry) i otwórz na stronie 124.* Tajemniczy

system zaklęć, umożliwiający powielanie behawioralnego cienia, to po prostu dowolny język etniczny.

4.

Koty, demon i behawioralny cień potrzebne mi były, aby wywołać uczucie zdziwienia. O uczucie to (tak drogie filozofom) trudno w wypadku języka — język etniczny jest jakby częścią nas samych i na ogół nie dziwi nas ani trochę. Otóż problem, który sobie postawiliśmy — konstrukcja behawioralnego cienia — jest niewiarygodnie trudny. W sam raz dla demona! Cała wiedza zoologiczna i fizjologiczna, którą gromadziliśmy przez stulecia jest całkowicie bezradna wobec tego problemu. Możemy drażnić powierzchnię ciała żaby miliardami najrozmaitszych bodźców, warunkować je na tysiąc różnych sposobów — wszystko na nic. Nigdy nie uda się nam sprawić, aby zachowanie żaby *B* (powiedzmy w przeciągu godziny) było behawioralnym cieniem swobodnego zachowania żaby *A*, np. z poprzedniego dnia. Pewien biolog zagadnięty o to powiedział mi, że zachowanie żab jest zbyt skomplikowane, że zależy ono od tak wielu czynników, że tylko wszechwiedzący Pan Bóg może je przewidzieć. A przecież żaby są tak proste!

Dowolny język etniczny jest cudownym kluczem, który pasuje nieomal do wszystkich drzwi, prowadzących do najrozmaitszych ludzkich zachowań. Stoi przede mną pan *X*, a ja chcę, żeby podniósł prawą rękę. Żaden problem. Po prostu mówię: *Podnieś prawą rękę*. Chcę, żeby podniósł lewą. Mówię: *Podnieś lewą*. Chcę, żeby podniósł pięć razy lewą, sześć razy prawą i powiedział „abrakadabra”. Mówię: *Podnieś* itd. (Gdyby *X* nie chciał zrobić tego o co go proszę, obiecałbym mu znaczną nagrodę. A do sformułowania obietnicy znowu posłużyłbym się słowami i tylko słowami.)

5.

Założmy, że gdzieś we wszechświecie istnieje wspañiale rozwinięta cywilizacja. Tworzą ją istoty tak niezwykle i tak sprawne, że w dalszym ciągu będę nazywał je demonidami. Jest ona o wiele bardziej (pod względem technicznym i naukowym) zaawansowana od ziemskiej. Szczególnie wysoki poziom osiągnęły nauki zgłębiające budowę, sposób funkcjonowania i zachowanie różnych żywych organizmów zasiedlających okoliczne planety. Tamtejsi fizjolodzy potrafią prześledzić i zidentyfikować «drogę» od bodźca do reakcji (organizmu) w stopniu, o którym Ziemianie nie mogą nawet marzyć. Pomędzy ich i naszą (ziemską) cywilizacją istnieje jeszcze jedna różnica. Otóż istoty, o których mowa, ani nie wytworzyły, ani nigdy nie zetknęły się z fenomenem, który przypominałby pod jakimkolwiek względem tzw. języki etniczne. (Jestem świadom, że jest to założenie wysoce nienaturalne, a być może wewnętrznie sprzeczne. Jeśli nawet tak jest, to i tak morał z przedstawianej historii na tym nie ucierpi.)

Wyobraźmy sobie, że pewnego dnia uczeni-demonidzi odkrywają Ziemię, a wraz z nią nowy rodzaj żywych organizmów. Szczególne zainteresowanie budzą dwunogie nieopierzone istoty, zasiedlające nader licznie nieomal wszystkie lądy. Powstaje ambitny program badawczy: poznać budowę wewnętrzną i sposób funkcjonowania nowych organizmów. Poznać do końca! Wśród demonidów „koniec poznania” ma jasny i czytelny sens empiryczny. Poznanie (dowolnych żywych organizmów) uznaje się za zakończone, jeśli udało się z powodzeniem rozwiązać problem behawioralnego cienia. Kryterium powodzenia jest niezwykle proste i czytelne. W momencie, gdy poznanie (nowo odkrytych organizmów) dopiero się rozpoczyna, demonidzi konstruują specjalną kukłę (będącą dobrą reprezentacją wyłącznie zewnętrznego wyglądu badanych organizmów), i zaopatrują ją w specjalny godzinny program zachowaniowy. Program ten jest dobierany niezwykle starannie i obejmuje unikalną sekwencję mało naturalnych, choć fizycznie możliwych (dla danego organizmu) zachowań. W naszym wypadku w specjalnym pomieszczeniu umieszczona zostaje specjalna kukła Ziemianina, która co godzinę wykonuje przepisany jej ciąg czynności: podnosi i opuszcza kończyny, dotyka różnymi palcami różnych specjalnie przygotowanych obiektów, wysuwa i chowa język ... wszystko to w ściśle określony sposób, określoną liczbę razy i w ściśle określonej kolejności. Otóż problem behawioralnego cienia zostałby rozwiązany, gdyby demonidom udało się znaleźć wzór, formułę czy przepis na konstrukcję takich kombinacji (czysto fizycznych, rzecz jasna) bodźców, które wystarczyłyby do tchnięcia «ducha» w taki behawioralny cień kukły. Tymczasem demonidzi wypróbowali już biliony najrozmaitszych kombinacji bodźców cieplnych i optycznych, i wszystko na nic. Nie mają jednak oni złudzeń co do tego, że nawet przy ich możliwościach technicznych i obliczeniowych (które są jednak skończone) problem, który sobie postawili może pozostać na zawsze nierozwiązany. Demonidzi natomiast zapewne nie wiedzą, że organizmy, będące przedmiotem ich badań, już bardzo dawno temu znalazły jego zadowalające rozwiązanie.

6.

Główny problem współczesnej filozofii umysłu to tzw. *naturalizacja*. Naturalizacja umysłu to — nieco upraszczając — wysiłki mające na celu «spakowanie» umysłu do torby opatrzonej napisem „przyrodniczy obraz świata”. Projekt ten jest pod wieloma względami dość niejasny (uściślaniem i wyjaśnianiem zajmują się zawodowi filozofowie-naturaliści, a literatura poświęcona tej kwestii poraża ogromem). Jedna rzecz jest oczywista. W torbie musi znaleźć się miejsce dla języka! Nie znaturalizujemy umysłu, nie znaturalizowawszy języka. Na czym jednak miałaby ona polegać? Spróbujmy, w bardzo ogólnym zarysie, zdać sobie z tego sprawę.

Wydaje się, że przez długi okres język był dla ludzi raczej rzeczą magii niż teorii. Prośbom, groźbom i zaklęciom, kierowanym pod adresem różnych rzeczy i zjawisk naturalnych, przyświecała — jak się wydaje — myśl, że odpowiednio spreparowany

system dźwięków lub znaków jest władny wpłynąć na bieg rzeczy w przyrodzie. Po okresie magii, nadszedł czas teorii. Z czasem ludzie zaczęli tworzyć również teorię języka. Aby sformułować i wyjaśnić podstawowe pojęcia, trzeba było pracy wielu pokoleń filozofów, logików, lingwistów... Efekt tych trudów, to, czego się naucza np. na kursach logiki, to jednak — wedle filozofa-naturalisty — w dalszym ciągu magia w czystej postaci! Podstawowe pojęcia semantyczne, takie jak *prawda*, *falsz*, *oznaczanie*, *znaczenie* i *rozumienie*, to jakby dalszy ciąg czarów. Do systemu zaklęć dołączono, jako jego wyjaśnienie, czarnoksiężską teorię.

Weźmy pod uwagę np. oznaczanie i załóżmy, że wypisuję właśnie na kartce papieru jedną z liter łacińskiego alfabetu, np. *M*. Czy litera ta (lub jeden z jej egzemplarzy, jeśli kto woli) oznacza czwartą planetę układu słonecznego, tzn. Marsa? „Jest to kwestia decyzji: będzie oznaczać, jeśli się tak umówimy” — odpowiedzieli bez wahania (tkwiący po uszy w magii) studenci IV roku informatyki, którym zadałem to pytanie. Otóż — nie! *Przyroda* (a my jesteśmy jej częścią) *nie podejmuje decyzji ani się nie umawia*. Powołując się na umowy i decyzje, mamy na oku mniej więcej następujący scenariusz. Skupiam uwagę na Marsie oraz literze *M* i łączę je (w myśli) «węzłem» oznaczania. Jest to scenariusz magiczny. Aby wprowadzić go w czyn, muszę skorzystać z cudownego daru *intencjonalności*, tzn. z daru odnoszenia się (w myśli) do dowolnej rzeczy lub stanu rzeczy. Muszę — wodząc po wszechświecie niematerialnym promieniem noetycznym — wybrać dwa z góry upatrzone obiekty i... No dobrze, ale przecież nie da się zaprzeczyć temu, że myślimy o rzeczach i stanach rzeczy, i że oznaczamy je (przy pomocy innych rzeczy) wedle upodobania?! Nie jest to fikcja, ale realny fakt; robimy to nieustannie! Być może — odpowiada filozof-naturalista. Chodzi jednak o to, że te (cudowne) władze lub dary muszą zostać *znaturalizowane*. Innymi słowy muszą zostać opisane w kategoriach czysto przyrodniczych, co z kolei znaczy, że od tej pory wolno nam mówić tylko o *neuronach*, *synapsach*, *bodźcach*, *reakcjach*... i związkach *przyczynowo-skutkowych*. Albo owe dary, moce, władze... dadzą się tak opisać i wyjaśnić (i staną się w ten sposób pełnoprawną częścią przyrody), albo...

No właśnie. Filozofowie-naturaliści podzielili się na dwie grupy. Pierwsza to tzw. *realiści*, druga to tzw. *eliminacjoniści*. Ponieważ nie mam obmyślonej klasyfikacji obejmującej dziesiątki nazwisk, podam kilka przykładów.

7.

Filozof-naturalista o najlaskawszym stosunku do fenomenu intencjonalności (a więc zarazem skrajny realista w tym sporze), to John Searle. Sądzi on, że intencjonalność jest rzeczywistą własnością materialnej przyrody, a dokładniej: rzeczywistą własnością ludzkich mózgów. Jest ona — w związku z tym — nieredukowalna. Niestety, Searle nie wyjaśnia, w jaki sposób funkcjonujące ludzkie mózgi miałyby i mogłyby nabywać dar odnoszenia się do wybranych rzeczy. Wiemy więc (dzięki Searlowi), że intencjonalność jest czymś naturalnym, nie wiemy jednak (w dalszym ciągu), jak to możliwe. Jest to

bardzo istotna słabość tego stanowiska, które z tego właśnie powodu uchodzi za tajemnicze. Nieco ironizując, można byłoby powiedzieć, że Searle nie tylko znaturalizował umysł, ale i udowodnił, że jest to zadanie łatwe do urzeczywistnienia — wystarczy podjąć odpowiednie decyzje! (Przykłady i analogie — takie jak ta, że mózg wytwarza intencjonalność tak, jak organizmy ssaków-samic mleko, albo że wydarzenia mentalne są częścią biologicznego procesu, tak jak trawienie — nie wnoszą niczego nowego. W dalszym ciągu nie wiemy, co takiego musiałoby się stać, żeby mózg zaczął «wytwarzać» intencjonalność!) Dodajmy na zakończenie, że autor *The Rediscovery of the Mind*, w celu odróżnienia swego stanowiska proponuje, aby nazywać je *materializmem biologicznym*.

Filozofem-naturalistą o mniej łaskawym stosunku do fenomenu intencjonalności (ale mimo to stojącym na stanowisku realizmu) jest Jerry Fodor. Sądzi on, że intencjonalność jest ... ontologiczną nicością. Intencjonalność jest realna dlatego, że tzw. *psychologia zdroworoządkowa* (ang. *folk psychology*) jest — w ogólnym zarysie — prawdziwa. A psychologia zdroworoządkowa jest intencjonalna (określenia „psychologia zdroworoządkowa” i „psychologia intencjonalna” używane są wymiennie). Dlaczego jednak jest ontologiczną nicością i jak pogodzić nicość z realnością?! Wyjaśnię to tak, jak zwykło się to robić w pracach poświęconych filozofii umysłu. Otóż Pan Bóg stworzywszy wszystkie rzeczy, własności i relacje nie musiał dodatkowo stwarzać intencjonalności — nie musiał, gdyż ta już (tym samym) została stworzona! Inny, mniej metafizyczny przykład, byłby następujący. Malarz, ułożywszy określone farby w określonym porządku na określonym płótnie nie musi dodatkowo malować piękna: nie musi, gdyż to — tym samym — zostało już namalowane. W ten sposób piękno jest i realne — jest prawdą, że obraz jest piękny, i jest ono ontologiczną nicością — do uczynienia obrazu pięknym wystarczają płótno i farby. (Zależności te wyjaśniane są na ogół przez odwołanie do pojęcia *supervenience*. Omówienie tego — wciąż mętnego — pojęcia i dyskusji, która się wokół niego toczy, wykracza poza ramy tego eseju.)

Wynika stąd, że to, co — jak się nam wydaje — jest prawdą o intencjonalności, jest (w ostatecznym metafizycznym rachunku) prawdą o *czymś innym*. O czym jednak? Punktem wyjścia Fodora jest, jako się rzekło, tzw. psychologia zdroworoządkowa. Psychologia zdroworoządkowa z kolei, to — przede wszystkim — tzw. *postawy propozycjonalne*. Postawy propozycjonalne zaś, to byty, takie jak przekonania, obawy, wątpliwości itp. Określenie „propozycjonalne” bierze się stąd, że «argumentami» tych bytów, ich naturalnym uzupełnieniem, są na ogół treści pewnych zdań lub — używając nieco innej terminologii — sądy przez te zdania wyrażane.

8.

Propozycjonalność postaw polega na tym, że zawsze jestem przekonany o *czymś*, obawiam się *czegoś*, wątpię w *coś* itd. Co skrywa się za słowami wyróżnionymi pochylonym drukiem? Jest to nic innego, jak właśnie treść pewnego zdania, lub sąd, który

ono wyraża. Rozważmy przykład. Załóżmy, że obawiam się tego, że *Jan zabił Piotra*. Co jest przedmiotem mojej obawy? Oczywiście — nie samo zdanie (które nie jest niczym innym jak ciągiem znaków i, samo przez się — gdybym nie znał jego znaczenia, treści itd. — nie zdołałoby wzbudzić we mnie żadnych obaw), ale jego złowroga treść. W stosunku do tej samej treści, mógłbym zajmować wiele innych postaw propozycjonalnych. Mógłbym być przekonanym co do tego, wątpić w to, lubić, chcieć, potępiać lub doceniać to, że *Jan zabił Piotra*.

Nietrudno już teraz dostrzec, dlaczego psychologia zdroworoządkowa jest intencjonalna. Przedmiotem przekonań, pragnień, zamiarów itd. są treści lub sądy, a te są z gruntu intencjonalne — w oczywisty sposób odnoszą się do rzeczy i stanów rzeczy w świecie. W ten sposób moja obawa (że Jan zabił Piotra) również (za pośrednictwem treści) staje się intencjonalna — odnosi się do Jana, Piotra i pewnego wydarzenia. Co dalej? W jaki sposób, zachowując (w ogólnym zarysie) psychologię zdroworoządkową, pozbyć się intencjonalności? Nie przejmujemy się na razie intencjonalnością, zdaje się powiadać Fodor. Rozpocznijmy od rzeczy łatwiejszych. Umieśćmy w pierw postawy propozycjonalne w mózgu.

Wyjaśnienie, czym dokładnie — w sensie anatomiczno-neurologicznym — są postawy propozycjonalne, należy powierzyć naukom szczegółowym. Rzeczą filozofa jest naszkicować zarys. Wygodnie (bo obrazowo) będzie, jeśli szkicując zarys, wyobrazimy sobie postawy propozycjonalne pod postacią osobnych pudełek. (W tym sensie można powiedzieć, że sceptyk ma prawie całą głowę zajęta przez pudełko z wątpliwościami, a dogmatyk zamiast mózgu ma pudełko z napisem „pewność”). Dla nauk szczegółowych pozostawało by niewiele — ustalić dokładny kształt i tworzywo, z którego wykonane są pudełka. Formułując to nieco poważniej: owe pudełka to — i taka jest intencja Fodora — pewne sposoby «gospodarowania» informacjami. Ta sama informacja, w zależności od tego, czy jest oceniana jako pewna, wątpliwa, radosna czy złowroga, wywiera określony, i za każdym razem inny, wpływ na pozostałe informacje i na zachowanie podmiotu. Co jednak znajduje się w pudełkach? No cóż, nie mamy tu zbyt dużego wyboru. W pudełkach muszą się znajdować owe osławione treści, sądy, znaczenia... Czym jednak są te iluzoryczne byty, nad którymi od tylu lat zastanawiają się filozofowie języka i logicy? Są one — wyjaśnia Fodor — zdaniem *języka myśli*. A czym jest język myśli? Łatwiej wyjaśnić, czym on nie jest.

Po pierwsze, język myśli nie jest językiem etnicznym (pierwszy, ojczysty język etniczny jesteśmy w stanie przyswoić tylko dlatego, że wcześniej władamy już językiem myśli, który jest wrodzony i wspólny wszystkim ludziom). Po drugie, język myśli nie ma nic wspólnego z myślą w tradycyjnym, kartezjańskim znaczeniu tego słowa. Należy go kojarzyć nie z *duchem*, który *rozumie, oznacza i porównuje* (treści zdań ze stanami rzeczy), lecz z *mózgiem, neuronami* i czysto *przyrodniczymi procesami*, zachodzącymi w tymże mózgu. (Nie zapominajmy, że wszystkie te manewry mają służyć naturalizacji.)

Tutaj jednak zaczyna się problem. Okazuje się bowiem, że język myśli posiada (a w każdym razie mógłby posiadać) określoną gramatykę (tzn. można byłoby zidentyfikować mniejsze całości, powtarzające się z określoną i charakterystyczną dla języków regularnością w jakichś dłuższych, czy bardziej skomplikowanych tworach), chociaż nie posiada (jako twór czysto przyrodniczy) żadnych cech semantycznych. Treści, znaczenia, sądy... umieszczone w mózgu stają się częścią przyrody, ale tracą intencjonalność — do niczego się nie odnoszą i niczego nie oznaczają. Wraz z nimi tracą intencjonalność postawy propozycjonalne. Pudełka Fodora są po prostu puste! (Neurofizjolog, zajrzawszy do głowy dogmatyka, znajduje wielkie pudło z napisem „pewność”, a w nim mnóstwo zdań języka myśli. „Dokonałem wielkiego odkrycia” — stwierdza. „Człowiek ten jest bardzo pewien! Niestety, nie wiem czego?!”.)

9.

Przedstawiony powyżej problem ma niezwykle bogatą literaturę. Na ogół bywał on wyrażany w formie pytania, gdzie znajdują się znaczenia — w głowie, czy poza nią (Hilary Putnam 1975, 1981, 1988), lub pytania, gdzie znajdują się postawy propozycjonalne (Thomas Burge 1979, 1981, 1982), które rozważane są przy pomocy wymyślonego przez Putnama modelu (Ziemia i Ziemia Bliźniacza). Nie jest moim zadaniem omawianie tych kwestii, ani analiza proponowanych przez Fodora «poprawek» (np. podziału na tzw. *treść szerszą* i *węższą*; ta druga miałyby już znajdować się w głowie).

Nie mogę się jednak oprzeć pewnej ogólniejszej refleksji. Otóż mam wrażenie, że wszyscy ci badacze, którzy próbują naturalizacji w sposób zbliżony do przedstawionego, tj. wtłaczają postawy propozycjonalne wraz z treściami do mózgu (program taki jest niekiedy zwany „programem Grice’a”) stoją w obliczu sytuacji, którą można byłoby nazwać *dylematem naturalisty*. Jeśli naturalizacja ma być rzeczywista, to muszą pozbyć się intencjonalności; jeśli jednak naprawdę i do końca pozbędą się intencjonalności, to skarykaturalizują umysł. Jeżeli nie chcą ani jednego ani drugiego, tj. ani zachowania intencjonalności (bo cóż to za naturalizacja!), ani skarykaturalizowania umysłu, to wspomniany dylemat przybiera formę bardzo prostego pytania: jak znaturalizować — nie naturalizując? Jeżeli na pewne pytanie nie ma odpowiedzi, to znaczy, że jest na nie odpowiedź filozoficzna. Nic dziwnego, że pociąga ono aż tak wielu filozofów.

10.

Filozofami o najmniej przychylnym stosunku do intencjonalności są Churchlandowie (Paul M. Churchland i Patricia S. Churchland). Stanowisko tych autorów ma jedną ważną zaletę — jest proste. Uważają oni, że czegoś takiego jak intencjonalność po prostu nie ma. Intencjonalność to pomyłka, której początku i wyjaśnienia należy szukać w powstaniu i upowszechnieniu się psychologii zdroworozsądkowej. Ludzie, nie mogąc (w przeszłości) zajrzeć w głąb swych czaszek i sprawdzić, co tam rzeczywiście się znajduje, próbowali wyjaśnić swoje (i innych ludzi) zachowania «powołując do

życia» nieprzeliczoną liczbę najrozmaitszych chimer (niektórzy — puszczając wodze fantazji — wymyślili nawet dla nich specjalne *locum* w postaci niematerialnego umysłu).

Wśród owych chimer, poczesne miejsce przypadło bytom, które później nazwano „postawami propozycjonalnymi” (po raz pierwszy określeniem tym posłużył się Bertrand Russell). To są właśnie przekonania, zamiary, intencje... Czy odpowiada im coś realnego (tj. przyrodniczego)? Nie! Dlaczego? Taką możliwość wyklucza istniejąca wiedza na temat budowy i funkcjonowania mózgu (podąża ona w zupełnie innym kierunku i w żaden sposób nie krzyżuje się ze zdroworoządkową psychologią). Prawdziwie naukowa postawa zatem, to nie redukcja (której próbuje Fodor i tylu innych), lecz *eliminacja*. Upiory te (przekonania, zamiary...) ciągle jeszcze straszą. Wspaniały rozwój wiedzy itd., pozwala mieć nadzieję, że z czasem (nie bez oporów zapewne) podzielią one los *flogistonu, eteru, cieplika* itp.

11.

To, co napisałem w kilku poprzednich akapitach to, rzecz jasna, nie przegląd stanowisk, ale po prostu kilka (na dodatek bardzo powierzchownie omówionych) przykładów. Mam nadzieję, że mimo to rzucają one pewne światło na propozycje wysuwane przez filozofów. Propozycja Searla to — moim zdaniem — żadna naturalizacja. W ten sposób można zawsze, wszystko i natychmiast znaturalizować. Droga, którą wskazuje Fodor jest kusząca. Wyjdźmy od rzeczy dobrze znanych, oczywistych, umieścimy je w mózgu (gdzież mogłyby być, jeśli nie tam?!), a dalej jakoś to będzie... Według mnie jest to droga donikąd. Wysiłki mające na celu opisanie intencjonalności (mam tu na myśli cały krąg pojęć kryjących się za tym słowem, a więc znaczenie, treść, oznaczanie, prawda itd.) w jakimś żargonie neuronowo-informatycznym, to jakby próba dotarcia do linii horyzontu. Niezależnie od tego, jak bardzo się staramy, odstęp się nie zmniejsza. Chyba, że ukryjemy go w metaforach i niedomówieniach. A co z propozycją Churchlandów? No cóż, jest ona bardzo trudna do zaakceptowania. Nie ma intencjonalności? Jakże nie ma, skoro jest (chciałoby się rzec, naśladowując Witolda Gombrowicza)! Moim zdaniem jest to jednak propozycja godna uwagi. W każdym razie daje ona w miarę czytelnie określone kryterium swojej weryfikacji. Stanowisko to okaże się słuszne, gdy przyrodoznawstwo wyprze tradycyjną psychologię i tradycyjną semantykę. Zastanówmy się przez chwilę, jakie to musiałoby być przyrodoznawstwo.

12.

Powróćmy do problemu behawioralnego cienia. Otóż radzę sobie (w praktyce) z tym problemem bez większych kłopotów. Mówię do pewnego człowieka: *Podnieś prawą rękę, podejdź do okna, wez książkę...*, a on robi dokładnie to, czego od niego żądam. Poproszony o wyjaśnienie tego cudu, powiadam, że człowiek, do którego mówię, rozumie *treść* lub *znaczenie* moich poleceń. Są to — z przyrodniczego punktu

widzenia — wyjaśnienia całkowicie magiczne. Równie dobrze mógłby się nimi posłużyć zaklinacz deszczów, widząc, że właśnie nadciąga chmura. Różnica pomiędzy mną a zaklinaczem polega na tym, że moje zaklęcia są prawie zawsze skuteczne, a zaklinacza — bardzo rzadko. Jest to jednak różnica praktyczna. Wyjaśnienia, pojęcia i teorie, na które się powołujemy, są również magiczne.

To, co twórców teorii różni od zaklinaczy, to skuteczność, a to, co tak bardzo upodabnia, to ignorancja. Tak jak zaklinacz nie wie, co dzieje się w chmurze, gdy wykrzykuje swe zaklęcia, tak samo i ja nie mam zielonego pojęcia, co dzieje się w obrębie skóry człowieka, gdy ja wypowiadam swoje polecenia. Chmura zaklinacza została znaturalizowana dawno, dawno temu; moja — wciąż czeka na naturalizację. Cóż w tym dziwnego — chciałoby się rzec. W końcu znacznie łatwiej poznać i opisać stan ciśnienia i ruch wiatrów niż mózg i neurony. Jest to z pewnością prawda. Sądzę jednak, że nie bez znaczenia była i zupełnie inna okoliczność.

Jeżeli jestem żywo zainteresowany przyszłym zachowaniem pewnych obiektów, to mogę stosować dwie odmienne strategie: *naukową* lub *magiczną*. W pierwszym wypadku staram się lepiej poznać wchodzące w grę obiekty i (na tej podstawie) przewidzieć ich przyszłe zachowania. W drugim wypadku mam z góry obmyślony (ten najbardziej korzystny dla siebie) scenariusz dotyczący przyszłości i bardzo bym chciał, aby został on urzeczywistniony. Na nic tu metoda naukowa. Spróbujmy zatem — prosząc, grożąc, składając ofiary i zaklinając — *wyprosić przyszłość*. A nuż się uda?! Strategia magiczna — jeżeli jest skuteczna — jest czymś nieporównanie lepszym niż strategia naukowa. Stosując pierwszą tylko przewiduję przyszłość (a może się ona okazać dla mnie bardzo niekorzystna), stosując drugą — sam ją (i to tę najbardziej korzystną) wybieram! Można się domyślać, że ludzie w przeszłości (próbując oswoić przyrodę) stosowali na przemian, bądź strategię magiczną, bądź naukową. Gdyby strategia magiczna okazywała się zawsze skuteczna, to przyrodoznawstwo w ogóle może by nie powstało. Nie byłoby po prostu potrzebne. Wiemy jednak, że strategia magiczna zawiodła. Materialna przyroda okazała się głucha na prośby i zaklęcia. Pozostawała żmudna i niewdzięczna strategia naukowa.

Rzecz jednak w tym, że strategia magiczna nie zawiodła całkowicie. Jest jeden wyjątek. Jest to jednak wyjątek na tyle ważny i zastanawiający, że połączone siły nauki i filozofii w dalszym ciągu nie potrafią wyjaśnić go w zadowalający sposób. Otóż, metoda magiczna okazała się zadziwiająco skuteczna w wypadku samych ludzi! Strategii naukowej zawdzięczamy wiele wspaniałych rzeczy, ale to właśnie strategii magicznej (a nie naukowej) zawdzięczamy największy wynalazek wszystkich czasów, a mianowicie wynalazek języka! A przecież to dopiero język uczynił strategię naukową możliwą i skuteczną! Cała nasza wiedza przyrodnicza zapisana jest właśnie w tajemniczym systemie znaków, a my coś z niej rozumiemy tylko dzięki temu, że wiemy, co owe znaki oznaczają, że rozumiemy ich znaczenie, treść itd. Granice mojego języka, to rzeczywiście — w pewnym sensie — granice mojego świata. Jeżeli oznaczanie, znaczenie, treść..., to magia, to wszyscy tkwimy w niej po uszy, a wydobywanie się z niej

przypomina trochę próby wyciągnięcia się za włosy z bagna. Można to zrobić, ale chyba trzeba przy tym albo trochę oszukiwać, albo przynajmniej trochę... czarować.

13.

Nauka wiele razy z powodzeniem zastępowała magię. Za każdym razem jednak była to magia o bardzo miernej skuteczności. Nauka po prostu okazywała się lepsza. Ujmując rzecz w kategoriach ekonomicznych, moglibyśmy rzec, że magia nie wytrzymywała konkurencji; lepszy, łatwiejszy w użyciu i skuteczniejszy produkt wypierał z rynku gorszy. Jak jednak wyeliminować magię, która jest łatwa w użyciu i tak szatańsko, tak demonicznie skuteczna?! Przecież strategia magiczna — jeśli jest skuteczna — to coś znacznie lepszego niż strategia naukowa! Przy pomocy magii stwarzam przyszłość, urzeczywistniam najlepsze (dla siebie), najbardziej korzystne scenariusze; przy pomocy nauki — tylko przewiduję. Zajmijmy się tym problemem dokładniej.

Założmy, że bardzo mi zależy na tym, aby pewien człowiek, mój przyjaciel (oznaczmy go przez P), dokładnie za tydzień (czyli w najbliższą środę o godz. 10) wykonał w określonym miejscu, określony ciąg czynności (oznaczmy je przez A_1, \dots, A_n). Co robię? Czy biegnę do neurobiologa z prośbą, aby ten zbadał stan neuronów w głowie P i na tej podstawie przewidział, co P będzie robił dokładnie za tydzień? Oczywiście — nie! Byłby to absurd! Po pierwsze, wiem, że neurobiolog nie byłby w stanie niczego przewidzieć — neurologia jest jeszcze zbyt słabo rozwinięta. Po drugie — a jest to rzecz o wiele ważniejsza — jest dla mnie zupełnie oczywiste, że gdyby nawet neurobiolog (wraz z fizykiem, który badałby środowisko zewnętrzne) był w stanie przewidzieć zachowanie P , to i tak zapewne stwierdziłyby, że P będzie (w najbliższą środę o 10) w zupełnie innym miejscu niż ja tego oczekuję, i że nie wykona czynności A_1, \dots, A_n , ale zupełnie co innego. Na nic więc nauka i przewidywania! Pozostaje magia. Jest ona łatwa w użyciu i bardzo (mam w tym względzie wiele pozytywnych doświadczeń) skuteczna. Chwytam za telefon, wykręcam odpowiedni numer i artykułuję odpowiednie zaklęcia: *Mam do ciebie ogromną prośbę* itd. Jaką musiałaby być nauka, aby móc skutecznie konkurować z taką magią? Musiałaby to być nauka demoniczna! Neurobiolog i fizyk musieliby rozwiązać problem behawioralnego cienia pierwszym sposobem, sposobem charakterystycznym dla demona, czyli musieliby znaleźć taki wzór, przepis czy formułę na konstrukcję fizycznych bodźców i «ustawienie» neuronów, które łącznie dałyby to, na co czekaliśmy. Czy takie przyrodoznawstwo jest w ogóle możliwe? Tak, ale tylko w *zasadzie*, tzn. dla demona, istoty o nieograniczonych możliwościach umysłowych i technicznych. A dla ludzi? Bardzo w to wątpię.

14.

Chciałbym teraz przejść do kwestii, która zastanawia mnie najbardziej. W jaki sposób ludzie zdołali wytworzyć produkt, który mógłby skutecznie konkurować z demonicznym przyrodoznawstwem?

Założmy (podążając szlakiem dobrze przetartym przez współczesną filozofię umysłu), że ludzie są tzw. *maszynami neuronowymi*. Przyjmijmy dalej, że przy pomocy odpowiednio spreparowanych fal głosowych (zwanymi na gruncie zdroworozsądkowej semantyki po prostu zdaniem wyposażonymi w odpowiednią treść) «nastawiamy» (nawzajem) swoje neurony w pożądanym sposób. Jak jest jednak to możliwe? Przecież olbrzymia większość ludzi nie posiada żadnej wiedzy neurofizjologicznej. Żeby «nastawić» czy «wyregulować» pewne urządzenie — wszystko jedno zegarek czy neurony — musimy znać jego budowę i sposób funkcjonowania. Gdy chcemy wyregulować zegarek — idziemy do zegarmistrza. Czy nie powinniśmy udać się do neurofizjologa, gdy chcemy «nastawić» neurony? Wiemy jednak (skądinąd), że (jak dotąd) żaden neurofizjolog nie potrafi «nastawiać» neuronów. Nie potrafi, gdyż nie ma dostatecznej o nich wiedzy. Jakim cudem my, których wiedza jest na ten temat nieporównanie mniejsza, potrafimy znacznie więcej niż najlepszy nawet specjalista?

Usunięcie tej wątpliwości nie zajmie nam wiele czasu. «Nastawianie» neuronów jest umiejętnością praktyczną. Uczymy się jej od innych ludzi wraz z nauką pierwszego (etnicznego) języka. Można dobrze nauczyć się kierowania skomplikowaną maszyną nie mając zielonego pojęcia o jej budowie wewnętrznej. W dobie komputerów jest to zupełnie oczywiste. Olbrzymia większość ludzi ma bardzo mętne pojęcie o tym, co dzieje się w «twardych» częściach komputera; pomimo to umieją oni «nastrajać» jego «neurony».

Usunięta właśnie wątpliwość jest jednak wstępem do znacznie poważniejszej wątpliwości. Nasuwa się mianowicie pytanie, w jaki sposób ludzie po raz pierwszy nauczyli się ustawiać neurony, czyli w jaki sposób wynaleźli język?!

15.

Gdy w czasie żmudnych i niewdzięcznych prac naturalizujących umysł pojawiają się trudne lub niewygodne pytania, badacze oddający się «egzorcyzmowaniu kartezyjańskiego ducha» zwykli wskazywać na obiekt, który nazywam *kołem ratunkowym naturalizacji*. Koło ratunkowe naturalizacji to nic innego jak teoria ewolucji Karola Darwina lub raczej jej współczesne mutacje. Niestety, tym razem ta sztuczka na nic nam się nie przyda. Mały człokształtne nie umieją nastawiać neuronów przy pomocy kodów, które pod jakimkolwiek ważnym względem przypominałyby języki etniczne. Wynalazek języka (czy raczej kongenialne wynalazki, których, jak się wydaje, dokonano w wielu różnych miejscach mniej więcej w tym samym czasie) musiał więc zostać dokonany całkiem niedawno. Ale jak? Metodą prób i błędów? Jest to prawie niemożliwe. Warto, jak sądzę, poświęcić nieco miejsca, aby jeszcze raz uświadomić sobie ogrom problemu, wobec którego stanęli pierwsi «wynalazcy języka».

Wyobraźmy sobie, że członkowie pewnego (niezawansowanego technicznie) племенia znajdują nieoprogramowaną maszynę cyfrową, tzw. *hardware* bez tzw. *software'u* wraz z podłączoną do niej gigantyczną klawiaturą przystosowaną do tego, aby